Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK Nr. 29

Bój pod Rokitną 1915 roku...

(W 19-tą rocznicę szarży ułanów rotmistrza Wąsowicza)

Na polach Rokitny, hen na pograniczu Besarabji i Bukowiny rozegrał się w czasach Wielkiej Wojny jeden z krwawych i zaszczytnych epizodów w łańcuchu bojów i trudów II. Żelaznej Brygady Legionów Polskich. Szarża pod Rokitną wskrzesiła najpiękniejsze tradycje skrzydlatej husarji z pod Kłuszyna, Chocima i Wiednia i godnie stanęła obok szarży, której echa odbiły się 126 lat temu o skalisty wąwóz hiszpańskiej Somosierry. Obie rozniosły sławę polskich szwoleżerów i ułanów po całym świecie.

Jakże dziś często mówi się u nas i pisze o tych „co na stos rzucili swój życia los“, a nie wspomina zupełnie lub tylko mimochodem o „Golgocie i cierniowej drodze Karpackiej Brygady“ pod wodzą mężnego i wysoko dzierżącego honor swych żołnierzy, generała Józefa Hallera! A wszak dzieje i czyny tej Brygady — to jedna olbrzymia, ciężka, krwawa i bohaterska droga — ku Wolnej Polsce!

Starym Ojców naszym szlakiem
Przez krew idziem ku wolności!
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem,
My — żołnierze sercem prości —
Silni wiarą i nadzieją,
Że tam kędyś świty dnieją! —

śpiewała Karpacka Brygada, przechodząc „góry, lasy i wały“ z niezachwianą wiarą w swego Wodza i zmartwychwstającą Ojczyznę.

Przyszła Rokitna.

Cząstka tej Brygady świadczy krwią niesłychanem męstwem i pogardą śmierci o wartości polskiego żołnierza. Rotmistrz Dunin-Wąsowicz na czele swego szwadronu wykonuje bohaterską szarżę na potrójne, kryte okopy rosyjskie i wśród piekielnego ognia artylerji i karabinów nieprzyjacielskich zdobywa zażarcie bronione nieprzyjacielskie pozycje:

„Rozkaz padł... I stanęła szara ćma
w szeregu.
Błyska szabla. Już pędzą!... Po kwiecistej błoni
miga się huf straceńców rozpętany
w biegu,
śmierć przed nimi — w nich gromy —
a wicher ich goni!“

Albowiem jak wicher ruszyli, porwani męstwem swego Wodza ułani na na pierwszą linję okopów, wyrzucili nieprzyjaciela i choć gęsto zaścielili drogę trupami i rannymi, jak huragan pomknęli ku następnym okopom:

„Jezus, Marja! Dopadli... Już pierwsze
okopy
zniknęły pod kopytem. Wichura rwie
dalej,
niepomna, że śmierć żniwa swego
zbiera snopy.
Już drugi okop tonie w jeźdźców
szarej fali...“

I tu przeszli, jak burza, ponad głowami niespodziewających się takiego męstwa Moskali, uderzając z furją na trzecią linję okopów. I choć walą się konie i jeźdźcy, choć ziemia, ludzie i konie broczą krwią, — impet rośnie i rośnie! Oto prawdziwa polska fantazja rycerska! Bo oto, gdy śmierć zbiera krwawe żniwo, gdy się rozpętały — zda się — wszystkie złe moce — oni bez opamiętania mijają zdobyte trzy linje okopów i mimo śmiertelnej kośby widzą przed sobą nowy cel: pozycje nieprzyjacielskiej artylerji i — ku niemu mkną! I oto już tylko sześciu ułanów trwa w brawurowej szarży!

„Przed ułana polskiego skłoń się
majestatem
Gdzie czwartego okopu szarzeją się
smugi,
dojdź po trupach święconych polskiej
krwi szkarłatem!
Sześciu doszło! Ułanów polskich
szwadron drugi!“

Wobec spełnienia właściwego zadania, zawracają ku swoim, a piechota ich bohaterskim szlakiem podąża do boju i zajmuje nieprzyjacielskie okopy.

A oto rozkaz pochwalny Komendanta Legionów exc. Durskiego, w którym szarża pod Rokitną przechodzi do historji największych wysiłków oręża polskiego: „Nieśmiertelna ta szarża 2-go szwadronu ułanów legionowych staje odtąd godnie obok Somosierry, a imiona dzielnych oficerów i żołnierzy tego szwadronu tak sławnie za Polskę poległych, złotemi zgłoskami zapisują się do księgi polskich bohaterów!“ — Bo istotnie krwawo okupili tę szarżę ułani rotmistrza Wąsowicza: na sześćdziesięciu, tylko dwudziestu wróciło całych i zdrowych z tego śmiertelnego skoku, piętnastu padło, ośmiu zaginęło, reszta odniosła ciężkie rany.



S. Batowski: Szarża pod Rokitną

Padł dowódca bitnego szwadronu, który nieśmiertelną glorją okrył imię polskiej kawalerji w ciężkich bojach karpackich: rotmistrz Zbigniew Dunin-Wąsowicz, prawnuk bohatera z pod Somossierry.

Padł wierny Jego towarzysz, Lwowianin z pochodzenia, organizator jazdy w „Sokole III“: porucznik Jerzy Topór-Kisielnicki, niezwykle śmiały i zdolny do brawurowych i ryzykownych czynów, rycerz. Był nieodrodnym i godnym spadkobiercą rycerskiej tradycji świetnych „Zagończyków“ kresowych.

Padł jeden z tych, którzy idą pełnić obowiązek z głębokiego przekonania i zrozumienia sprawy: podporucznik Roman Włodek, żołnierz pełen godności, zahartowany w twardej służbie, a w obliczu niebezpieczeństwa rycerz pełen zimnej odwagi.

Giną mężnie w szarży: wachmistrz Tadeusz Adamski i wachmistrz Władysław Nowakowski. Pierwszy wsławiony mężnemi czynami przy boku ukochanego pułkownika Hallera, drugi nieustraszony żołnierz i dzielny towarzysz wszystkich wypraw śp. rotmistrza Wąsowicza.

Kończy bohatersko życie kapral Karol Karasiński i prócz niego dziewięciu szarych, lecz wiernych aż do zgonu towarzyszy — ułanów: Bolesław Kubik, Bronisław Łuszczewski, Michał Majda, Eugenjusz Potok, Jerzy Rakowski, Tadeusz Starczewski, Mikołaj Szysz Władysław Tworkowski i Antoni Zwatschke.

Nazwiska tych wszystkich bohaterów, poległych chlubnie 13 czerwca 1915 roku w szarży pod Rokitną zostały zapisane złotemi zgłoskami w historji i przekazane pamięci pokoleń po wszystkie czasy! Współczesne zaś pokolenie z dumą wspomina czyn rokitniański, jako echo sławy idącej przez wieki, wskrzeszonej niedawno u skał Somosierry, w latach Wielkiej Wojny zaś na polach Rokitny...

Rany porucznika Fafary, wachmistrza Sokołowskiego, kaprala Sperbera, Bukalskiego, Brinkena i innych pozostaną dla nich na zawsze najdroższą pamiątką, jaką obdarzyła ich odradzająca się Ojczyzna.

Obrzęd, jaki odbył się w dniu 15 czerwca 1915 na cichym cmentarzu w Rarańczy był ostatniem pożegnaniem Tych „których krew przelaną została za honor oręża polskiego...“ (Ks. płk. Panaś) Na polach Rokitny bowiem padł kwiat rycerstwa, zrywającej się do walki Polski. To też słuszny był żal szczery starego, wytrawnego żołnierza generała Zielińskiego, kiedy łzy ronił, a głośne szlochanie wstrząsało jego piersią“ gdy żegnał bohaterów rotmistrza Wąsowicza.

I oto sława Ich rozniosła się lotem błyskawicy po całym kraju.

Nadszedł dzień 24 czerwca 1915 roku... Jeszcze raz wówczas wszyscy ułani Wąsowicza stanęli w ordynku wraz ze swym nieustraszonym Wodzem. Nastąpiło udekorowanie Tych „co żywi wyszli“ i nadanie srebrnych medali I. klasy Tym „co polegli...“ a Brygadjer w pamiętnych słowach stwierdził, iż „dumnym jest, że może odznaczyć polskich legjonistów za czyn tak rycerski, za tak świetną szarżę kawalerji, jakiej podobnej historja wojen nie łatwo znaleźć może...“

A któż byli ci, co poszli jak wicher po śmierć i po sławę?... Oto w szwadronie rotmistrza Wąsowicza skupiły się wszystkie stany: byli tam asystenci uniwersytetu, inżynierowie, technicy, artyści dramatyczni, artyści malarze, literaci, obywatele ziemscy, górale, było wreszcie kilku prawdziwych krowoderskich zuchów! Ale wszyscy jednako służyli Ojczyźnie i jednakie dla Niej ponosili trudy, rany i śmierć „na Polu Chwały...“

Minęło 19 lat! Lecz glorja nieśmiertelna żyje w sercach rodaków. Ilekroć razy rozpamiętywamy czyn Rokitniańczyków, tylekroć razy stają przed naszemi oczyma dwa „pola chwały“: Somosierra i Rokitna i dwa nieśmiertelne szwadrony polskiej kawalerji: szwoleżerowie pułk Kozietulskiego i ułani rotm. Wąsowicza. — Boć obie pamiętne szarże po wszystkie czasy świadczyć będą wspaniale o polskim żołnierzu i jego wodzach!

Boć:

„Piękności jego czynu
Nie zgryzie czasu rdza,
Nie zetrze piętno lat,
Ale w sercach zostanie,
Jak bajka, jak cudny kwiat

Bo:

„Wśród dworów i chat
Opowie braciom brat,
Opowie wiekom wiek,
Jak ułan w boje szedł,
Jak ułan w boju padł...“

Prawdą — bo stały się słowa poety, że „wiecznie polski żołnierz będzie ginął w boju — żył w legendzie....“

Rokitna — to krwawa ofiara złożona Posce w przededniu wolności. — Taką też ofiarą była „cierniowa droga“ Brygady generała Hallera.

Po latach dziewiętnastu czcimy dziś mężne duchy karpackich żołnierzy i poległych za Polskę rycerzy z pod Rokitny, składając hołd Ich wzniosłej ofierze i poświęceniu!

„O wam nie leżeć w tej bolesnej
ziemi!
Ale skrzydłami gdzieś szumieć
złotemi
Na polach bitew — i na ognie nowe
Nieść wasze szable, od krwi koralowe
I wasze serca kulami podarte —
I nad szańcami sprawować gdzieś
wartę
Polskich aniołów bojowych — — —

TADEUSZ GRYF-KLESZCZYŃSKI.

Céline i hiperrealiści

„PODRÓŻ DO KRESU NOCY" A KRYTYKA POLSKA

Jak wiadomo, „Podróż do kresu nocy" Ludwika Ferdynanda Céline'a wyszła w polskim przekładzie i trąby reklamy zalecały ją publiczności jako nowe objawienie literackie, jako rzecz nową, śmiałą, pozbawioną hipokryzji — i tak dalej wedle własnego wzoru.

Naturalnie określenia te padały z kół, które nie uznają ekskluzywności narodowej, owszem, uważają za Polaka każdego, kto pisze po polsku, które entuzjazmują się ustawicznie dla jakiejś „rewelacji" o ogólnoludzkim podkładzie i które — powiedzmy otwarcie — są dzisiaj na wierzchu, gdyż mają na swoje wydawnictwa zasiłki, a dbając więcej o sensacyjne podanie treści, niż o treść samą, wyzyskują obudzony po wojnie poziom umysłowy społeczeństwa, przyzwyczajonego do brukowych metod dziennikarskich. Z drugiej strony — z tej,co jest pod spodem, ale niezawsze będzie pod spodem — padły pod adresem Celine'a bardzo surowe słowa potępienia.

FAŁSZYWY REALIZM

Z zaciekawieniem wziąłem książkę do ręki i mimo obrzydzenia przeczytałem. Uznaję realizm i nie jestem zdania, aby każda powieść musiała być pisana z uwzględnieniem dwunastoletnich panienek jako ewentualnych czytelniczek. Zdaje mi się jednak, że co do realizmu panuje dzisiaj duże nieporozumienie. Realizm pochodzi od łacińskiego wyrazu res = rzecz, a więc określenie mówi o kierunku, polegającym na przedstawianiu wszystkiego tak, jak jest w rzeczywistości, a więc dobrem lub złem, pięknem lub brzydkiem, wzniosłem lub obrzydliwem. Tymczasem najczęściej wychodzi się z założenia, że co dobre, piękne lub wzniosłe to musi być nieprawdziwe, że na świecie jest tylko złe, brzydkie i obrzydliwe, a więc realizm musi polegać na malowaniu złego, brzydkiego i obrzydliwego. Zgodnie z takim poglądem popełnia się dwa błędy: 1) eliminuje się dobre, piękne i wzniosłe; 2) przesadza się w złości, brzydocie i obrzydliwości złego, brzydkiego i obrzydliwego.

Obraz życia, jaki z tego wynika, jest z gruntu fałszywy. Nie twierdzę, aby tworzyło je samo dobro, piękno i wzniosłość. Owszem, przeważa dziś, bardziej może, niż kiedykolwiek, pierwiastki przeciwne. A przecie uproszczenie, które widzi tylko minusy, nie zasługuje na inną nazwę, niż potwornego kłamstwa.

Niestety trzeba tu powtórzyć rzeczy, jak świat, stare. Każda religja mówi o istnieniu złego i dobrego, każdy system etyki filozoficznej taksamo. Życie ludzkie jest podobne do szachownicy — coprawda zwykle z przewagą pól czarnych. Ale kto białych zupełnie nie widzi, nie zasługuje na miano realisty. Owszem wystawianie go jako realisty będzie polegało na bezkrytycznej manji albo świadomem oszustwie.

POWIEŚCI WOJENNE HIPERREALISTÓW

Zastrzegłszy się, że przedstawiony powyżej kierunek literacki nie jest wogóle realizmem, nazwijmy go dla wygody i ze względu na tendencję jego przedstawicieli hiperrealizmem. Zazwyczaj hołdują oni ideałom ogólnoludzkim. Wierzą lub udają, że wierzą, iż można doprowadzić do tego, żeby na świecie wszystkim było dobrze. Przeszkodę widzą w istniejącym porządku społecznym i w rozpowszechnionych ideach, szczególnie w nacjonalizmie, który doprowadza do wojen, w szczególności zaś doprowadził do wojny światowej.

Ona to jest ich ulubionym przedmiotem. Barbusse we Francji, Remarque w Niemczech, Sanoon w Anglji, Dos Passos w Stanach Zjednoczonych, i tylu innych — rzecz charakterystyczna, że prawie wszyscy z pochodzenia Żydzi, z przekonań politycznych komuniści — odmalowali wojnę w stylu hiperrealistycznym, z całą jej okropnością i brudem, zresztą efektownie i z mniejszą lub większą dozą talentu.

Lecz obrazy ich są fałszywe. Wszyscy oni malują wojnę z punktu widzenia szeregowca, podoficera, co najwyżej oficera subalterna, zaznaczając jaskrawe przeciwieństwo między nastrojem szarego tłumu z okopów, a tych, którzy go posyłają na śmierć, bo im wojna przynosi korzyść. A ten szary tłum nie ma żadnej idei. Nie zna tego, co etyka filozoficzna określa jako wartości tymetyczne, nie zna patrjotyzmu, sławy, poczucia obowiązku — bo to trzecie zastępuje obawa kary. Czy można pomyśleć, że gdyby w armjach, które przez cztery lata zmagały się ze sobą, było naprawdę takie usposobienie, wojna mogła była trwać choć przez miesiąc?

Jakaż jest psychika żołnierza u hiperrealistów: Czysto zwierzęca. Pragnie on zaspokojenia głodu, pragnie wygody i użycia, pragnie bezpieczeństwa. Szczytem ich marzeń jest alkohol i kobieta — pierwsza z brzegu. Żadna iskra wyższego uczucia nie rozświetla ich duchowej natury. Co najwyżej współczuje jeden drugiemu — ale i ta solidarność płynie z interesów egoistycznych. Jeżeliby człowiek naprawdę był taki, to nasuwa się pytanie, czy warto budzić dla niego litość, czy warto wyznawać ideał humanitaryzmu, który przyświeca hiperrealistom. Niechby taka ludzkość wytępiła się wzajemnie przy pomocy dział, karabinów maszynowych, min i gazów trujących. Im prędzej tem lepiej. Ale na szczęście ludzkość taka nie jest.

PODKŁAD IDEOWY

Nie dzisiejsi hiperrealiści pierwsi wynaleźli pesymizm. Bywały utwory gorzkie, przedstawiające naturę ludzką w najgorszem świetle. Czyniono to jednak w myśl innego ideału, jaki miano przed oczyma. Hiperrealiści człowieka wcale podnieść nie pragną. Chcieliby tylko przez środki zewnętrzne, przez zmianę ustroju społecznego takiemu jakim wedle nich jest, zapewnić maximum szczęścia.

SŁOWNICTWO.

Opisy ich bywają mocne i efektowne, a obejmują także to, czego dotychczas się nie opisywało, co uchodziło za tabu. To już rzecz smaku — i mody. Nadto weszło u hiperrealistów w zwyczaj używać wyrazów, które dotychczas były nagość wyłączone z literatury — im więcej, tem lepiej. Każdą stronę zdobią słowa lepkie i cuchnące. Trzeba powiedzieć, że pozostaje to w harmonji z całą koncepcją życia, jaka powieści te cechuje. Treść znalazła odpowiednią formę. Ale o formie należy powiedzieć to, co już powiedzieliśmy o treści.

To nie realizm, to przesada w kierunku obrzydliwości. Najniżej kulturalnie stojący człowiek wstydzi się pewnych rzeczy i określa je przy pomocy eufemizmów.

Sam więc hiperrealizm zasługuje na ocenę bezwzględnie ujemną, a na uwagę tylko wtedy, gdy z przedstawionemi tu jego zasadniczemi rysami łączy się wybitny talent, objawiający się w charakterystyce, w nowej technice opowiadania, w stylu i w języku. Te względy skłoniły mnie niedawno do omówienia na tem miejscu „Ulisessa" Joyce'a — który zresztą do hiperrealistycznej szkoły ściśle nie należy, tylko ma z nią dużo cech wspólnych.

TROJGŁOS CHWALCÓW

„Podróż do kresu nocy" Celine'a podobnych zalet nie posiada i robienie z niej arcydzieła jest jedynie sztuczką reklamową, dowodem lubowania się w brudzie, w najlepszym razie objawem bezkrytycyzmu, przysięgającego pochopnie na słowa zagranicznych magistrów.

Bo trzeba powiedzieć, że miał on w szerokim świecie szereg pochlebnych recenzyj. Wydany niedawno angielski przekład przyniósł na opasce po jednym głosie francuskim, niemieckim i amerykańskim. Znajduję je zacytowane w recenzji Sir Johna Squire'a (Sunday Times z 24 czerwca b. r.).

Rzecz nieco dziwna, że głos francuski pochodzi od Leona Daudet'a, słowa jego wyglądają jednak na wyrwane ze środka jakiegoś artykułu. Słyszymy tu, że książka należy raczej do XVI, niż do XX wieku, że „pewni czytelnicy uznają ją za oburzającą, niezońską, nawet okrutną, lecz że wzbudzi entuzjazm innych". Niemiecki recenzent — najwidoczniej w duchu hitleryzmu czciciel przedewszystkiem siły — podkreśla tę cechę u Celina, zowiąc ją niezrównaną i podniecającą. Wedle niego autora słusznie nazwano nowoczesnym Rabelais. Najmniej rezerwy okazuje Amerykanin i warto przytoczyć jego tyradę prawie w całości:

> To wstrząsająca książka — brutalna, brudna, gwałtowna, straszliwa, to rodzaj koszmarnej wizji świata bez wewnętrznego znaczenia i prawie bez piękna... Wybrednych czytelników, tych, których do rozpaczy doprowadza język rynsztoków lub wzmianka o funkcjach fizjologicznych, należy przed nią przestrzec. Jest naprzemian piękna, patetyczna, komiczna, zapierająca dech w piersiach, wywołująca nudności. To najbardziej paląca, przeznaczeniem nabrzmiała książka, wydana dotychczas przez Francję, dla której odrodzenie przez wojnę było koniecznością, może najsilniejsza książka, wydana przez Europę, odkąd demokracja dała jej bezpieczeństwo.

Prawdziwy wykwit niedorzeczności Squire, też wyraża wątpliwości, „czy ci entuzjastyczni dżentelmeni czasem poświęcają chwilę czasu na myślenie, zanim wezmą się do pisania".

ZDANIE SQUIRE'A

Tłumaczy on dalej zdanie Daudet'a, który uważa świat zachodni wogóle, a burżuazyjną Francję w szczególności za przeżarte zgnilizną, więc cieszy się, znajdując potwierdzenie tego na każdej stronie „Podróży do kresu nocy". Natomiast nie podpisuje się Squire pod zestawieniem tej książki z Rabelais'm czy z XVI w. „Zdaje mi się, że jest dosłownie jedna jedyna rzecz wspólna Celine'owi z Rabelais'm, a to brak powściągliwości w słowach".

Zdanie Squire'a zasługuje na baczną uwagę. Jest to zapewne obecnie najwybitniejszy krytyk angielski, odznaczający się tem, że stara się zawsze uzgodnić punkt widzenia czysto literacki z punktem widzenia przeciętnego czytelnika, że waży i nowe walory techniki czy stylu i ideę i poprostu zdolność zabawienia lub zainteresowania, wszystko uwzględniając i unikając jednostronności.

Posłuchajmyż, co Squire mówi od siebie:

Gdyby poglądy Celine'a ująć sumarycznie, z pewnością niejeden cywilizowany człowiek podpisałby się pod ich większością, zgadzając się, że wojna jest czemś potwornem, że kolonje eksploatuje się brudnemi sposobami, że chciwość jest również ohydna, jak nienasycona — „jednem słowem, że grzechy śmiertelne są śmiertelne".

> Lecz jakiekolwiek brudy ktoś mógł widzieć i o jakichkolwiek słyszeć, nie mogły być tak brudne, jak mniej więcej wszystko wydaje się p. Céline'owi. Chory nerwowo, pełen obrzydzenia do życia, goni on za łupem po świecie podziemnym dwóch kontynentów, szukając i znajdując rzezie, chłostę, choroby, smrody, rabunku, rozpustę, bestjalstwa wszelkich rodzajów i to z taką wytrwałością, że po przeczytaniu jego książki człowiek rozgląda się po zwarjowanym świecie i spostrzega, że to miejsce wcale spokojne i przyjemne w porównaniu z wizją p. Céline'a.

Dobrze charakteryzuje dalej Squire tendencję Celine'a do spostrzegania wszędzie obrzydliwości. Posługuje się przytem cytatami:

> P. Célina nie potrafi opisać zwyczajnego zespołu pasażerów na okręcie, aby przytem nie powiedzieć: „W tym gotującym się garnku z gularzem tłuszcz, wydzielany przez każdą ludzką cząstkę koncentruje się" (nie trzeba dodawać, że autor jest prześladowany), albo zachodu słońca, aby go nie nazwać „straszliwym mordem słońca, niewiarogodnem błazeństwem", lub zabawy jarmarcznej, aby nie powiedzieć, że piwo było bez piany, że człowiek, który je roznosił, cuchnął potem, że w wydawanej reszcie były obce monety, ale że to wszystko trzeba było znosić „w drodze od głodu do więzienia". Wielu najcharakterystyczniejszych miejsc niepodobna przytaczać. Kto ciekaw, może je sam sobie wyszukać, o ile zdecyduje się na przewlekłą i niewygodną podróż po szlachtuzie i dynstoku przy małem urozmaiceniu piękna lub nawet cynicznego humoru i przy niewielkiem zainteresowaniu jakie wzbudzić mogą wyraźnie rysowane charaktery.

Zestawia też Squire Celine'a z innymi współczesnymi lub znanymi naszym czasom pisarzami, posiadającymi podobne cechy. Porównanie wypada w każdym wypadku na jego niekorzyść. Jeżeli idzie o talent językowy i tworzenie nowych wyrazów, to ktoś, kto czytał Joyce'a, nie zauważy nawet prób Celine'a. Odznacza się on histerją większą, niż Lawrence w swych najgorszych momentach, brutalnością większą, niż Andrejew — również w swych najgorszych momentach.

Dla powieści w stylu „Podróży do kresu nocy" znajduje Squire określenie „powieść chorych nerwów" (The Neurotic Novel) i konkluduje:

> Jeżeli ta książka okaże się śpiewem łabędzim powieści chorych nerwów, to może zasłużyła na powitanie, jakiego doznała — choć z innych powodów, niż podane przez ów międzynarodowy areopag (z opaski).

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

Szlachetne kruszce w fundamentach

Miasto San Louis Potosi w Meksyku założyli w r. 1589 franciszkanie. Od roku 1590 do 1656 były tam najwydatniejsze kopalnie złota na świecie. W jednym roku wydobyto go za 120 miljonów złotych. Wydobywano również srebro. Podczas tego „wieku złotego" zwracano uwagę jedynie na najlepszą rudę, pośledniejszych, często używano przy budowie domów. Dziś gorsze czasy. Mieszkańcy więźli się do kopania i wytapiania szlachetnych kruszców z gruzów starych domów. Dawna świetność San Louis Potosi nie wróci, ale pomysł okazał się wcale zyskownym. Z tony gruzów otrzymuje się czasem po kilkanaście gramów złota i znaczna ilość srebra.

Sylwetka i jej twórcy

O powstaniu sylwetki opowiada piękna legenda grecka, przekazana nam przez Plinjusza, co następuje:

Mistrz sztuki ceramicznej, Butades, rodem z Sikjonu, miał piękną córkę, która wieczorami widywała się pokryjomo ze swym ukochanym. Pewnego razu zasiedzieli się oboje aż do świtu. Dogasało już rozpalone ognisko, a promienie wschodzącego słońca rzucały coraz wyraźniej cień młodego Greka na znajdującą się opodal gładką ścianę skalną.

Zauważyła to młoda dziewczyna. Pragnąc utrwalić i zachować dla siebie rysy ukochanego, podjęła z ogniska nadpaloną gałązkę i zwęglonym jej końcem obrysowała na skale sylwetkę swego kochanka.

Tak oto powstała pierwsza sylwetka, stworzona w chwili silnego afektu, ręką rozkochanej kobiety...

Historja jednak mówi co innego. Sylwetka, pojęta jako jednopłaszczyznowy ornament, utrzymany w jednym tonie, pojawia się już w zamierzchłych przedhistorycznych czasach, w sztuce starożytnego Egiptu i Grecji, — a zwłaszcza na tzw. wazach etruskich, zdobnych w klasyczne czarne profile.

* * *

W ścisłym związku ze sylwetką rysunkową, pojętą jako dzieło sztuki, pozostają też i owe, powszechnie znane



Stanisław August (ze zbiorów Muzeum im. ks. Lubomirskich we Lwowie)

„teatry cieni", popularne od wieków aż do dziś dnia na Wschodzie, zwłaszcza na Jawie, a znane również w Japonji i Chinach, skąd jako tzw. „chińskie cienie" przeszły do Europy już w średniowieczu.

Moda chińskich cieni rozpowszechniła się szczególnie u schyłku XVIII. wieku (znany był zwłaszcza specjalny teatrzyk „Theatre Seraphin" w Paryżu), — a i w Warszawie pojawiają się podobne przedsiębiorstwa, nazywane „szajnekatarynką".

W tym samym mniejwięcej czasie „wybucha" nagle zupełnie, w całej Europie „moda" sztuki sylwetkowej. Wówczas też dopiero pojawia się po raz pierwszy nazwa „Silhouette", zdobywając sobie szybko prawo obywatelstwa.

Skąd się ta nazwa wzięła? Pochodzenie jej jest niezwykle ciekawe: W pierwszej połowie ośmnastego wieku żył we Francji niejaki Stefan de Silhouette (ur. 5 lipca 1709), piastujący wysoki urząd generalnego kontrolera skarbu. Położył on duże zasługi około sanacji skarbu państwa, słynął jednak równocześnie ze swej drobiazgowej, przesadnej oszczędności i skąpstwa, co ostatecznie stało się powodem jego ustąpienia.

Przeniósł się wówczas do zbudowanego przez siebie zamku w Bry - sur - Marne. Jak podaje paryski „Journal officiel" z dnia 29 sierpnia 1869 roku.

„...jedną z głównych rozrywek właściciela było obrysowanie konturem cienia twarzy, celem uzyskania rysunku profilu twarzy na murze. Ściany licznych sal tego pałacu pokryte były tego rodzaju rysunkami, które od imienia ich twórcy nazwano „silhonettes" (sylwetkami), — nazwa, która utarła się i pozostała na zawsze."

Tak zatem osławiony ze swego sknerstwa i ośmieszony minister skarbu przeszedł do historji jako twórca sylwetek, — zupełnie zresztą niesłusznie, gdyż ten sposób portretowania profilowego znany był już dużo dawniej.

* * *

Jak już wspomnieliśmy, moda sztuki sylwetkowej, zarówno portretowej jak i kompozycyjnej rozpowszechniła się z końcem ośmnastego wieku. Pojawiają się prawdziwi artyści, mistrze w tym fachu: Jean Hubert, Franc. Gonord, J. Agasse, G. Chrétien (u którego portretował się w roku 1793 Tadeusz Kościuszko) i inni.

W Anglji dużą sławą cieszyli się John Miers, Edw Foster i A. Charles. Spotykamy tam również i polskiego artystę, nazwanego przez Anglików „Loecksi"..., co do którego brak jednak jakichkolwiek bliższych danych.

Zpośród licznych adeptów tej sztuki w Niemczech godzi się wymienić Fryderyka Anthinga, który w swych podróżach po całej Europie stworzył sto sylwetek najwyżej postawionych osobistości, między innymi i Stanisława Augusta.

A właśnie na okres rządów Stanisława Augusta przypada najbujniejszy rozwit sztuki sylwetkowej w Polsce Pracowali na tem polu przeważnie artyści zagraniczni, dorywczo w Polsce przebywający. Z polskich wymienić należy ks. Czapelskiego i J. K. Lenczowskiego, których kilka kompozycyj znajduje się w Muzeum Narodowem w Warszawie. Pozatem mieliśmy całą masę mniej lub więcej uzdolnionych artystów, pracujących jednak przeważnie anonimowo.

A obok prawdziwych artystów — jeszcze więcej amatorów — dyletantów, rekrutujących się zpośród najwyższych sfer społeczeństwa, jak ks. biskup Krasicki, Kazimierz Małachowski, księżna marszałkowa Lubomirska i inni.

W pierwszej połowie XIX wieku wytworzyła się w Polsce prawdziwa „sylwetkomanja", polegająca na wycinaniu ciemnych figur ze starych, bezcennych



Napoleon (sylwetka współczesna)

nieraz sztychów i rysunków i naklejania ich na jasnem tle. Wyklejano niemi najrozmaitsze przedmioty: parawany, szkatułki, skrzynki, niszcząc w ten sposób bezmyślnie ciekawe i wartościowe zbiory rycin. Dopiero wynalazek fotografji zadał ostateczny cios, tej szkodliwej, a tak rozpowszechnionej manji.

Obecnie sylwetka portretowa w prawdziwem tego słowa znaczeniu zeszła do rzędu miłej rozrywki, lub stała się sztuką zarobkową uprawianą przez wędrownych domowych „artystów" na jarmarkach, odpustach, kiermaszach. Sztuką zamierającą, nie wytrzymującą konkurencji z fotografami „a la minute".

Natomiast znajduje ona coraz szersze zastosowanie artystyczne w sztuce plakatowej, przetworzona całkowicie pod wpływem wspaniałej a tak oryginalnej grafiki japońskiej. Ale nie jest to już dawna, prymitywna czarna sylwetka na jasnem tle. Dzisiejsza sylwetka jest prawdziwem dziełem sztuki, w którem zaznacza się pomysłowość i indywidualność autora - artysty.

* * *

Warto jeszcze zastanowić się, czy i jaką wartość ikonograficzną posiada sylwetka, a więc zasadniczo portret w profilu, sporządzony bezpośrednio z osoby żyjącej.

Słynny w ośmnastym wieku fizjonomista, pastor J. K. Lavater, wystąpił ze śmiałą teorją, że „sylwetka jest najprawdziwszą i najwierniejszą podobizną człowiek, jaką wogóle można stworzyć" Wystarczy zbadać wedle wszelkich zasad fizjonomiki czyjś profil, najlepiej „w sylwecie", aby poznać charakter tego człowieka, jego skłonności, zalety i wady.

Teorja ta spotkała się z bardzo krytycznem przyjęciem ze strony ludzi nauki, — temniemniej jednak przyczyniła się do olbrzymiego rozpowszechnienia się sztuki sylwetkowej.

Prawdą jest, że w malarstwie portretowem od najdawniejszych niemal czasów zaznacza się wybitna przewaga profilu. Malarz jednak czy rysownik ma do dyspozycji cały szereg środków, pozwalających mu podkreślić i uwydatnić wszystkie charakterystyczne cechy portretowanej osoby, wyraz twarzy, głębię spojrzenia, charakterystyczne zmarszczki i linje, co wszystko razem właśnie decyduje o „wierności" portretu.

Ze sylwetką sprawa ma się zupełnie inaczej. Artysta musi ograniczyć się na możliwie wiernem odrysowaniu konturów profilu. O ile profil ten jest zdecydowanie wyrazisty i charakterystyczny dla danej osoby, — sylwetka zbliża się do wartości dość wiernego portretu. Przykładem tego są np. portrety sylwetkowe Kościuszki, Napoleona, Stanisława Augusta.

Gdy jednak idzie o twarze pełne, okrągłe, twarze „przeciętne", nie posiadające żadnych cech charakterystycznych, — sylwetka nie jest w stanie dać wiernej i trafnej podobizny, — poza ogólnym charakterystycznym kształtem czaszki.

Uwydatnia się to zwłaszcza w portretach sylwetkowych kobiet, które nigdy nie potrafią oddać całego powabu i wdzięku, kobiecej urody, nawet przy najklasyczniejszym konturze.

I dlatego głęboką prawdę kryją słowa, umieszczone niegdyś nad sylwetką królowej pruskiej Luizy: „Il ne me reste que l'ombre"... (kt.)



Słynna z piękności Greczynka Zofja Szczęsnowa Potocka

Muzeum w oknach wystawowych

Minął t. z. wielki tydzień sezonu paryskiego (okres, w którym sezon ten dochodzi do szczytu ożywienia). Kupcy z ulicy Fauburg Honoré bardzo pięknie i z pewną myślą urządzili na ten czas swe okna wystawowe. Ulica ma stare tradycje, tu od wieków mieściły się najmodniejsze sklepy, dzisiaj zaś jej dodaje świetności fakt, że przy niej mieszka prezydent Rzeczypospolitej i znajduje się Ambasada W. Brytanji.

Otóż właściciele magazynow galanteryjnych z Faubourg St. Honore wpadli na pomysł, aby nadać wystawom charakter historyczny. Okna sklepowe zamieniły się w muzeum, dając dobry przegląd, jak wyglądały artykuły modne w ciagu wieków.

Oglądano tu więc trzewiki z czasów Franciszka I. (a więc w 1 połowie XVI w.), toaletę z wszelkiemi przyborami, którą Ludwik XV ofiarował jednej ze swych kochanek, ostrogi Napoleona III i rachunki, które płacił Napoleon I za perfumy i rękawiczki. Nie żałował on na ten cel pieniędzy, ale czasy były tańsze od dzisiejszych. Sześć par białych krochmalonych rękawiczek kosztowało cesarza 14 fr. 40, a flaseeczka najlepszej wody kolońskiej 2 fr.

Dalej widniały w oknach bombonjerki, butelki, kapelusze z przed lat 50, 100 i więcej. Pewien właściciel magazynu galanteryjnego, w którym stale zaopatrywali się prezydenci Republiki, wystawił kołnierzyki, jakich używali. Okazało się, że o elegancję pod tym względem dbali tylko Casimir Périer i Carnot. Nie przyniosło im to szczęścia. Pierwszego zmuszono do ustąpienia, drugiego zamordowano.

Gdzieindziej można było przyjrzeć się koszulom, jakie nosił Talleyrand. Lecz najciekawszym zapewne przedmiotem z nowszych czasów była lekka zbroja oficera kirasjerów z czasów drugiego cesarstwa, przeznaczona do tańca i wogóle do okazyj towarzyskich.

Poeta poecie równy

Swego czasu mieszkańcy Ekwadoru postanowili przyozdobić stolicę posągiem swego poety nazwiskiem Olmeda. Przestraszyli się jednak kosztorysu i wówczas ktoś zauważył, że przecież poeta poecie równy i ewentualnie możnaby coś dostać z drugiej ręki. Ostatecznie kupiono w Anglji jakąś statuę Byrona i ustawiono ją na jednym z drugorzędnych placów tropikalnego miasta.

Cyganie w Polsce

Przeglądając bibljografję ludoznawstwa ziem polskich, zobaczymy, że niemal wszystkie, nawet najmniejsze grupy czy to etniczne, czy religijne, na ziemiach naszych zamieszkałe, doczekały się już szczegółowych opracowań monograficznych, a jedynie pod nagłówkiem „Cyganie" prócz kilku drobnych szkiców jest zupełna pustka.

Powodem tego są trudności, jakie napotykają uczeni, zamierzający się oddać badaniom tego rodu wiecznych tułaczy. Cyganie są bardzo skryci i niechętnie dopuszczają do siebie obcych, a temsamem uniemożliwiają poznanie ich życia wewnętrznego, świata wierzeń, guseł i zabobonów.

Do dnia dzisiejszego nie określono dokładnie kiedy i dlaczego opuścił ten lud koczowniczy swoją pierwotną ojczyznę, za którą poczytują uczeni okolice nad dolnym Indem. Czy Cyganie są potomkami Sudrasów, czy Singarów indyjskich, czy też resztkami jakiegoś innego szczepu azjatyckiego, są to pytania do dziś dnia nie rozstrzygnięte.

Do Europy przywędrowali na przełomie XIII i XIV w., a w Polsce pojawili się już za Władysława Jagiełły, pierwszą o nich pewną wiadomość znajdujemy dopiero za króla Aleksandra w r. 1501.

W XVI i XVIII wieku były ich bandy u nas nierównie liczniejsze niż dzisiaj, a włóczyły się najgęściej po lesistych okolicach Polesia, Podlasia, Litwy, często też zaglądali w Sandomierskie i do Małopolski.

Żyjący za Zygmunta III kronikarz Marcin Bielski (1495—1575) tak pisze o Cyganach tułaczach:

„Lata od Narodzenia Pańskiego 1417 napierwej się rodzaj cygański u nas i w Niemczech ukazał, lud próżnujący, chytry, tajemny, plugawy, dziki, czarny, wiary, ani postanowienia nie mając: gdzie się przywloką tam wiarę trzymają, aby im dawano; mowę sobie zmyślili ku kradzieży godną, aby nikt nie rozumiał, jedno sami sobie; stądże są misterni złodzieje, zwłaszcza żony ich, z których kradzieży żywią; aby ku temu lepszy przystęp miały wróżą białym głowom prostym, leda co mówiąc. Mężowie zaś rozmaitem szyderstwem się obchodzą, końmi frymarczą, wytrychy złodziejom czynią i rozmaite igrzyska wymyślają.

Włóczą się po wszystkich krainach świata niedługo na miejscu trawiąc, by się kradzieża bardzo nie sprzykrzali. W cudzych ziemiach Katy bywają, jako w Turcech i indziej, i na szpiegi jeżdżą do nieprzyjacielskich krain."

Jak z powyższego widać, nie cieszyli się w dawnej Polsce Cyganie sympatją. Za czasów Zygmunta Augusta dopuszczali się rabunków, napadając licznemi bandami dwory. Zaczęto ich więc od tej pory prześladować i wypędzać z kraju.



Typy Cyganów polskich

Na sejmie w r. 1557 zapadła ustawa, że Cyganów należy wygnać i chociaż nie została w zupełności przeprowadzona, mimo to liczba Cyganów w Polsce znacznie się zmniejszyła. W 50 lat później w r. 1607 województwo podlaskie, gdzie było najwięcej Cyganów, wyjednało na sejmie złagodzenie ustawodawstwa. W r. 1624 stosowano dawne ustawy już jedynie do Cyganów nieosiadłych.



Chata Cyganów osiadłych

Idąc za przykładem Węgier ustanowiono dla Cyganów osobnego zwierzchnika, t. zw. króla cygańskiego, wybieranego z pośród nich samych, a zatwierdzanego przez władzę państwową. Rezydencją tego króla był Mir w województwie Nowogrodzkiem. Królowie cygańscy ściągali do swej prywatnej szkatuły wysokie opłaty i występowali wszędzie z niesłychanym przepychem w otoczeniu barwnych dworzan i kapeli. Nic więc dziwnego, że szlachta nawet na takie dostojeństwo patrzyła okiem zazdrosnem i starała się po nie sięgnąć, co jej się w końcu udało.

Swojego czasu królem cygańskim był mianowany przez St. Augusta Poniatowskiego szlachcic polski Znamierowski. Uciskał on bardzo swoich poddanych, wobec czego wybuchła w r. 1789 rewolucja „pałacowa", a król został sromotnie obity i zdetronizowany.

W r. 1791 wyszedł rozkaz, aby Cyganie zaprzestali tułackiego życia, a osiedlali się po wsiach; od tego czasu osiadło i zmieszało się z ludnością rodzimą ziem polskich około 150 rodzin cygańskich po wsiach i miasteczkach południowej Polski i Litwy.

Resztki dawnych band, przerzedzone znacznie, tułały się jednak dalej. Trudnili się oni kowalstwem, naprawianiem kotłów i handlem końmi. To ostatnie zajęcie zyskało im sławę bardzo przebiegłych oszustów i dlatego słowo „cygaństwo" przyjęło się jako określenie wszelkich nieuczciwych manipulacyj.

Obecnie niema już w Polsce Cyganów wędrownych, rozsypali się po wioskach, gdzie zamieszkują lepianki sklecone na krańcach wsi lub stare opuszczone domostwa. Żyją w nich „jako te ptaki niebieskie", wszelkiej pracy unikają jak ognia a żebraniną i łupem z drobnej kradzieży podtrzymują swą nędzną egzystencję. Jako ślad dawnego tułaczego trybu życia pozostały im pewne nawyczki: nigdy np. nie gotują Cyganie jadła w izbie, lecz na ognisku przed chatą, trzymają bez potrzeby całe sfory zgłodniałych psów, które dawniej bronić miały obozu, pozatem zachowali dziwną słabość do koni.

Wielu z pośród Cyganów ma w okolicy sławę doskonałych konowałów. Cyganie osiadli jako żywioł mimo wszystko płynny, są dla władz źródłem ustawicznych kłopotów. Mają oni do dnia dzisiejszego osobną cygańską „władzę", która spoczywa w ręku dynastji Kwieków, obowiązkiem króla jest trzymanie w ewidencji osiadłego u nas narodu cygańskiego, pomaganie i udzielanie wskazówek policji, gdy poszukuje Cygana przestępcy, sporządzanie wykazu poborowych i t. p.

Władcy jednak nie stąpają po różach, wystarczy tylko lekko narazić się któremu z poddanych, by król znalazł się w niebezpieczeństwie życia.

Cyganie, których tabory spotykamy na naszych gościńcach, nie są polskiego pochodzenia. Przybywają oni do nas z Rumunji lub Węgier, gdzie ich najwięcej i dążą na zachód, przez Niemcy do Francji i Hiszpanji.

Są oni narodem naogół bardzo utalentowanym. Zdumiewającą jest n. p. ich łatwość przyswajania sobie obcych języków. Wśród tych tułaczy nierzadko spotkać można urodzonych poliglotów władających kilku językami europejskiemi.

Jak już wspomniałem na wstępie, świat wierzeń, ustrój społeczny i rodzinny Cyganów jest dotąd bardzo mało znany. Posądzają ich, że tylko pozornie wyznają religję chrześcijańską dla ułatwienia sobie stosunków z ludnością wiejską i dla korzyści materjalnych. Znane są bowiem wypadki że Cyganka chrzci kilkakrotnie tosamo dziecko, żeby mieć sposobność wyłudzenia datków od zamożnych kumów.

U Cyganów jest ustrój rodzinny patrjarchalny. Ojciec rodziny niczem rzymski pater familiae posiada nad wszystkimi członkami rodziny władzę nieograniczoną. Żona jest niewolnicą męża. Małżeństwo nie jest niczem trwałem, jako powód do rozwodu służyć może bezpłodność kobiety co uchodzi za hańbę.

W obozach cygańskich, w skład których wchodzi po kilka rodzin, sprawuje jeden z mężczyzn (niekoniecznie najstarszy) władzę naczelną. Dawniej istniała władza jeszcze wyższa, regulująca zatargi między bandami i wyznaczająca im pewne terytorja, gdzie bandzie wolno było swobodnie operować. Cytowany powyżej Bielski pisze w swojej kronice:

„zasię na miejsca swoje rozdzielone z rotami swemi przychodzą, bo oni cudze królestwa między siebie rozdzielili, a gdzieby jedna rota drugą najechała, czynią o to z sobą i porażają się okrutnie sami o to".

Cyganie zachowali silne poczucie wspólności plemiennej. Ilekroć banda cygańska rozbije obóz w pobliżu wsi, wszyscy w okolicy osiedli Cyganie zbiegają się w odwiedziny, by przynajmniej przez chwilę odetchnąć tą atmosferą obozową, do której pcha ich słabo jeszcze opanowana żyłka tułacza.

R. R.

Co można wyczytać z paznokci?

Był czas, gdy było bardzo modnem — wnioskowanie i sądzenie o zdrowiu oraz o walorach fizycznych i moralnych ludzi, a nawet o ich losie i przeznaczeniu, na podstawie uważnego badania pewnych części ich ciała. Wymienić w tym względzie wypada przedewszystkiem frenologję, z którą przez szereg lat było związane jako słynne imię Galla. Jeśli frenologja zajmowała się czaszką, to ini opierali się na policzkach, na nosie, a wreszcie inni jeszcze na rękach. O tych ostatnich należy mówić z całym szacunkiem, gdyż chiromancja — to dziś potęga, mająca wielu wyznawców i jeszcze więcej kapłanów.

* * *

Zdawałoby się, że blisko spokrewniona z chiromancją będzie **onychomancja**, gdyż paznokcie — to tylko część ręki. Jednak medycy, którzy uznają onychomancję, odmawiają chiromancji wszelkiego z nią związku. Utrzymują bowiem, że podstawy onychomancji są ściśle **naukowe**. Jej znawcy na podstawie paznokci, nie wypowiadają się o wadach i zaletach ludzi, lecz starają się przynieść pewną i to cenną pomoc djagnozie i prognozie, gdy staje się to koniecznem ze względu na oczywisty stan chorobowy.

* * *

Rozpoznawanie chorób jest stale rzeczą trudną, to też sztuka lekarska nie gardzi nigdy nowemi wskazówkami, o ile one opierają się na jakiejś racjonalnej zasadzie i gdy potwierdza je doświadczenie. Otóż w zakresie onychomancji takie racjonalne zasady istnieją.

Po pierwsze paznokieć, choć pozornie wydaje się nie czującym i martwym, żyje i rośnie. Można tedy logicznie wnioskować, że jego wzrost podlega pewnym prawidłom, tym mianowicie, które ogólnie decydują o wzroście i rozwoju organizmu. Po drugie — dzięki jego przejrzystości, można obserwować pod nim bogatą sieć naczyń, a także łatwo tu dojść do wniosku, że jego zabarwienie ulega zmianie, zależnie od cyrkulacji krwi. Po trzecie — paznokieć pozostaje w związku z końcowemi włóknami nerwowemi, a ponieważ te ostatnie podlegają wrażeniom idącym od wewnątrz organizmu i reprezentującym zmiany zachodzące w jego funkcjonowaniu, to łatwo przyjąć, że owe procesy mogą się wyrazić w ten lub ów sposób na paznokciach.

Wszystkie te i tym podobne momenty musiały już dawno dawać ludziom do myślenia i nic dziwnego, że i tą drogą starano się dojść do pewnych rezultatów w dziedzinie zdrowia i jego zaburzeń.

* * *

Oprócz powyższych momentów anatomiczno-fizjologicznych, starano się wyciągnąć pewne wnioski z kształtu i spójności paznokci. Tu grają niezawodnie rolę dziedziczność oraz sposób i rodzaj pożywienia, jakie dana jednostka pobierała od urodzenia. Temat jest zresztą bardzo obszerny. Bez chęci jego wyczerpania, można stwierdzić, że paznokieć zbyt krótki oznacza pewien niedorozwój organiczny, to samo też znaczenie przypisać wypada zbytniej

wąskości paznokcia. Twardy i łamliwy paznokieć ujawnia pewien stopień arterio-sklerozy, paznokieć miękki wskazuje na niedostateczną żywotność. Są pozatem formy wyraźnie patologiczne: jaki zaś jest związek ich patologji z chorobowością całego organizmu, — to już jest zagadnienie zbyt specjalne, dostępne tylko w zakresie badań czysto chemicznych.

* * *

Oprócz kształtu paznokcia, wchodzi w rachubę również i jego kolor. Paznokcie różowe są poczytywane za oznakę zdrowia i równowagi. Paznokcie blade, to dowód braków w cyrkulacji krwi przez naczynia włoskowate. Bladość może mieć różne natężenia. W niektórych chorobach serca, przy zapaleniu płuc itd. paznokcie stają się ciemnoszare. Rzecz znamienna, że ta szarość pojawia się jeszcze przed chorobą; jest tedy jej zapowiedzią, co jest ważne dla djagnozy.

Kolor paznokci może jednak nieraz wprowadzić w błąd. Zależy on bowiem też od pewnych kwasów i wogóle połączeń chemicznych. Wtedy pewne zabarwienie paznokci nie oznacza niczego chorobowego. Zwrócić jeszcze należy uwagę, że specjalną barwę paznokci spowodować mogą zajęcia zawodowe, a więc zajęcia pozłotników, zegarmistrzów, szlifierzy i praczek. Tu onychomancja może oddać cenne usługi medycynie sądowej, przyczyniając się do stwierdzenia środowiska i zawodu, do którego należy osobnik o zakwestjonowanej, względnie nieznanej identyczności.

* * *

Niektóre właściwości paznokcia cieszyły się oddawna specjalnem zainteresowaniem, a dziś też są badane z największą troskliwością. Jak wiadomo, u podstawy paznokcia znajduje się jego część bardziej biała, opalowa, stanowiąca niejako część jego korzenia. Otóż istnienie tej części paznokcia nie jest rzeczą stałą. Nie spotyka się jej ani na wszystkich palcach, ani u wszystkich ludzi, ani nie we wszystkich stanach ich zdrowia.

Wedle kilku nowszych badaczy, owa biała część paznokcia jest w ogólności wyrazem tego, co oni nazywają odpornością życiową, rezerwą sił organicznych lub żywotnością; każdy z nas dysponuje pewną ilością tej treści życiowej, ale nie każdy w tym samym stopniu, a w jakim mianowicie, — to właśnie odsłania biaława część paznokcia. Jeśli owa rezerwa życiowa człowieka się zmniejsza, to białawe części paznokcia znikają, jedna po drugiej. Ostatniemi z palców, które tracą białe części na paznokciach, są wielkie palce, czyli kciuki. Ale też gdy energja życiowa wraca, to białe części paznokcia pojawiają się z powrotem. Podczas rekonwalescencji można obserwować stopniowe pojawianie się i rozszerzanie białych części paznokcia.

* * *

Jest jeszcze do omówienia jedna rzecz, która też zwraca ogólną uwagę. Mamy tu na myśli ślady, pręgi poprzeczne. Otóż w tym względzie jest zgoda ogólna, że są one wyrazem tego co było, a nie tego, co jest. Paznokcie ustawicznie odrastają i jeśli były jakieś komplikacje w odrastaniu, pozostał ich ślad w owych pręgach. Przyczyną jest z reguły jakieś zaburzenie, jakiś błąd w odżywianiu ogólnem organizmu. Błąd odnośny wpływał wogóle na organy będące na drodze wzrostu, a więc i na paznokcie. Jak stwierdzają niektórzy badacze dotyczącego problemu, na podstawie śladów poprzecznych na paznokciach, można obliczyć czas, który upłynął od danej choroby, biorąc pod uwagę, że paznokieć odrasta mniej więcej na milimetr w ciągu tygodnia.

Reasumując tylko to wszystko, co zostało powiedziane wyżej (a można powiedzieć bez porównania więcej), trzeba przyznać rację medykom, którzy odrzucają wszelką łączność chiromancji z onychomancją. Bo istotnie wskazówki tej ostatniej należą do dziedziny naukowej i dla medycyny są niezwykle cenne.

J. Cartier - odkrywca Kanady

Dnia 20 kwietnia 1534 roku wypłynęła z bretońskiego portu St. Malo karawela „La grande Hermine", okręt żaglowy o pojemności sześćdziesięciu ton. Wypłynęła w daleką, a nieznaną drogę, — na polecenie panującego wówczas we Francji króla Franciszka I, wielkiego humanisty i protektora sztuk pięknych.



J. Cartier (podobizna na wydanych świeżo pamiątkowych znaczkach poczty francuskiej)

Śmiała ta ekspedycja spotkała się z protestem królów Hiszpanji i Portugalji: szło przecież o odkrycie legendarnych Krajów zamorskich, o znalezienie poszukiwanej oddawna drogi do Chin, o odkrycie krain obfitujących w złoto i drogie kamienie!

Ale Franciszek I nie zważał na te protesty, oświadczając bez ogródek wysłannikom Karola V, iż ma równe z nimi prawo do podziału Nowego Świata i z prawa tego nie myśli rezygnować, — chyba, że... pokażą mu testament Adama, zapisujący im całą Amerykę do podziału.

* * *

Dowództwo całej ekspedycji (składającej się z dwóch zaledwie okrętów żaglowych) objął — z polecenia królewskiego — śmiały, młody żeglarz Jakób Cartier. Nie był on nowicjuszem w swym zawodzie: obyty z morzem od najwcześniejszej młodości, miał już za sobą kilka dłuższych wypraw, między innemi do Brazylji, skąd nawet przywiózł do rodzinnego miasta młodą Indjankę, wywołując tem niemałą sensację.

Przy pomyślnych wiatrach ekspedycja płynie dość szybko na północny zachód. Po dwudziestu dniach podróży oba statki wpływają do Zatoki św. Wawrzyńca, którą przepływają w kierunku od północy ku południowi, w całej szerokości.

Wreszcie dnia 24 lipca 1534 Cartier ląduje u wejścia do zatoki, już na ziemi kanadyjskiej. I tam — w obecności tłumnie zebranych Indjan i całej załogi następuje uroczysty, historyczny akt: objęcie w posiadanie Kanady w imieniu Francji.



Montréal — ogólny widok

Zgodnie z przyjętym zwyczajem i instrukcjami otrzymanemi od króla, — Cartier każe wystawić na brzegu wielki krzyż, wysoki na 30 stóp; do krzyża umocowana tarcza z herbem królów francuskich i napisem: „Vive le Roy de France".

Królestwo francuskie powiększyło się o wspaniałą, bogatą kolonję.

Cartier wraca wkrótce potem do Francji, uwożąc ze sobą dwóch synów wodza indyjskiego, Donnarony.

* * *

Ale już z wiosną następnego roku wyrusza na nową wyprawę. Tym razem ma już do dyspozycji trzy statki „La grande Hermine", „Petite Hermine" i mniejszy galjon „Emerillon", ze 120 ludźmi załogi.

Przeprawa jest ciężką, gwałtowne burze i wichry dają się we znaki żeglarzom. Dopiero w lipcu wszystkie trzy statki spotykają się u brzegów niegościnnego Labradoru.

Cartier postanawia tym razem z zatoki św. Wawrzyńca, ochrzczonej przez niego tem mianem w dniu 10 sierpnia, a więc w dniu tego świętego, popłynąć w górę rzeki wpadającej do tej zatoki, — rzeki, która również miała później otrzymać tę samą nazwę.

Mijają osady i wioski indyjskie. W pobliżu Hochelaga spostrzegają wyniosłą górę, z której roztacza się wspaniały, czarujący widok na całą okolicę i na szeroką rzekę.

Górze tej nadaje Cartier nazwę „Mont Royal" czyli „Montréal". Tak oto dokonał się akt urodzin Montrealu, dzisiaj najważniejszego miasta w całej Kanadzie, drugiego co do wielkości portu w całej Ameryce. Miasta, i z tego jeszcze względu osobliwego, że po Paryżu jest ono drugiem z rzędu, największem miastem francuskiem na świecie, biorąc pod uwagę narodowość i język jego mieszkańców.

* * *

Nadchodzi zima z silnemi mrozami, do jakich nie przywykli francuscy żeglarze. Cartier jednak postanawia przezimować w tej niegościnnej krainie.

Ciężka to była zima: od połowy listopada do połowy kwietnia uwięzieni wśród lodów i śniegu, pozbawieni odpowiedniego pożywienia, Francuzi zaczynają chorować. Zwłaszcza szkorbut sieje wśród nich spustoszenie. Do tego i zachowanie szczepów indyjskich daje słuszną podstawę do niepokoju.

Toteż z nastaniem wiosny Cartier odpływa pokryjomu do ojczyzny, pozostawiając „Małą Herminę" na pastwę losu.

* * *

Powrót jego nie wywołał większego wrażenia. Franciszek I miał wówczas inne, ważniejsze sprawy i kłopoty na głowie, — o dalekiej Ameryce nie było czasu myśleć. A to tem bardziej, że Cartier nie przywiózł ze sobą spodziewanego złota, ani drogich kamieni. To co on uważał za djamenty, okazało się po zbadaniu zwyk.ym, bezwartościowym kwarcem...

Cartier nie daje jednak za wygraną. Po długich staraniach organizuje w roku 1541 trzecią swą wyprawę do Kanady.

Towarzyszy mu w tej wyprawie Roberval, mianowany przez króla gubernatorem Kanady.

Towarzyszy mu też pierwsza partja kolonistów francuskich, — niestety niezbyt fortunnie dobranych, bo są to przeważnie kryminaliści, więźniowie, skazani niejako na „zesłanie" i na pokutę w obcej, niegościnnej ziemi.

Wyprawa ta nie przynosi żadnych ważniejszych wydarzeń.

Współcześni nie potrafili ocenić należycie doniosłych odkryć śmiałego żeglarza, — który przecież pierwszy dotarł do Kanady, popłynął w górę rzeki św. Wawrzyńca i cały ten olbrzymi szmat ziemi objął w posiadanie imieniem Francji.

Nazwisko jego przypomniano dopiero obecnie, — w 400 lecie jego wiekopomnego odkrycia, w związku z wielkiemi uroczystościami, jakie z tej okazji odbyć się mają zarówno we Francji jak i w Kanadzie.

Na uroczystości te wysyła rząd francuski trzy wspaniałe nowocześnie urządzone okręty, z których jeden „Champlain" wyruszy dnia 19 sierpnia dokładnie tym samym szlakiem, jakim przed czterema wiekami płynął Cartier na swym maleńkim żaglowcu.

Nie zdobył Cartier tej sławy, jaka stała się udziałem innych wielkich podróżników i eksploratorów. Ale choć nie znalazł skarbów Inkasów, nie wywiózł do ojczyzny zrabowanych klejnotów i złota, nie splamił rąk krwawemi rzeziami Indjan, — nazwisko jego wiecznie figurować będzie wśród wielkich odkrywców i pionierów ludzkości.



„La grande Hermine" karawela, na której Cartier dopłynął do Kanady

„Pan z San Francisco"

Nakładem wydawnictwa J. Przeworskiego w Warszawie ukazał się zbiór nowel ostatniego laureata literackiej nagrody Nobla Iwana Bunina pod wspólnym tytułem „Pan z San Francisco" w naprawdę dobrym, o ile się weźmie pod uwagę ogólny poziom dzisiejszych tłumaczeń polskich z rosyjskiego, — przekładzie Wacława Rogowicza.

Książka zarówno przez wydawcę, jak i przez tłumacza — najprawdopodobniej traktowana była jako aktualność, i jako taką brał ją niewątpliwie do ręki każdy polski czytelnik, ciekaw, za cóż to przyznano najwyższe literackie odznaczenie świata jej autorowi, i jak też wygląda twórczość autora, mającego w opinji świata reprezentować literaturę rosyjską. Jakoże jest Iwan Bunin pierwszym pisarzem rosyjskim, któremu zaszczytne to wyróżnienie zostało nadane.

Zgóry chyba można było powiedzieć, że każdy taki polski czytelnik dozna uczucia dezorjentacji, zdumienia i przeważnie rozczarowania. Zarówno tytułowa nowela „Pan z San Francisco", będąca w gruncie rzeczy prawdziwem arcydziełem sztuki nowelistycznej, jak i inne utwory, w jednym tomie z nią połączone, — sprawią, że czytelnik albo potraktuje książkę z niezasłużonem lekceważeniem, albo rzuci ją w kąt, kompletnie zdezorjentowany.

Będzie to zupełnie zrozumiałe: od reprezentacyjnego pisarza rosyjskiego czytelnik polski spodziewał się czegoś zupełnie innego.

Przeciętni czytelnicy polscy, a nawet miłośnicy literatury rosyjskiej czy ludzie, uchodzący za jej znawców — o ile nie znają języka rosyjskiego i skazani są na zapoznawanie się z przekładami jedynie, — wyrabiają sobie takie mniej więcej pojęcie o tem, czem jest literatura rosyjska (mowa, rozumie się o czytelnik dzisiejszym):

— owszem, literatura wartościowa i poważna chwilami wielka. Bardzo, bardzo oryginalna... trochę za egzotyczna: duch wschodu, Azja i t. d.

Przed wojną za ucisku carskiego też coś było — przedewszystkiem, rozumie się, Tołstoj i Dostojewskiej. Wielkie to i potężne, takie rewolucyjne, takie bardzo społeczne, no ale i rozkładowe trochę, burzycielskie, nihilistyczne...

Oprócz tych dwu, trochę estetyzmu, dużo pornagrafji, zgnilizny moralnej (Andreja, Arcybaszew), no ale przedewszystkiem lud, lud... bunt, rewolucja, przewrót A więc Gorkij, Gorkij i jeszcze raz Gorkij.

Tego trochę było przed przewotem sowieckim, a rozkwit prawdziwy, prawdziwa literatura rosyjska, odzwierciadlająca prawdę o narodzie rosyjskim i jego duszy, — to te wszystkie, moc tych wydawnictw, któremi zasypany jest polski rynek wydawniczy — przekłady z literatury sowieckiej: Erenburg, Katajew, Gładkow, Sejfulina, Pilniak... Wszystko to takie twarde, proletarjackie, ideowe światoburcze lub w ostatecznym razie chłoszczące stary świat i jego cywilizację liczem satyry...

Tak wychowany czytelnik polski istotnie zdumiony jest i zdezorjentowany, biorac do ręki „Pana z San Francisco", nie znajdzie tam bowiem ani rewolucji, ani propagandy, ani apoteozy kolektywizacji, ani nawet pryncypialnych dyskusyj, szamotania się z własną duszą, czy piwania na zachodnio - europejską kulturę. Wyda mu się to nieciekawe, bo wcale nierosyjskie. I dziwić się będzie, za cóż to było przyznawać nagrodę Nobla!...

Szczerze mówiąc, potrosze dziwili się wszyscy. Bunin istotnie nie jest pisarzem, typowym dla tego, co określamy jako literaturę par excellance rosyjską. Nie stworzył on też żadnego większego dzieła, coby wstrząsnęło sumieniami lub olśniło wrażliwość artystyczną. Bezsprzecznie, i dziś — są pisarze — Rosjanie, bardziej od niego zasługujący na nagrodę Nobla: już nietylko Gorkij czy Mereżkowskij, ale ongiś inteligent dziś największy twórca literatury klasowo - proletarjackiej, ex - hrabia, a obecnie czołowy artysta w Z.S.S.R. — Aleksy Tołstoj, autor najznakomitszej chyba powieści historycznej, jaką wydał wiek XX-ty „Piotr Pierwszy".

Jest jednak Bunin największym nowelistą rosyjskim XX-tego stulecia i to może nietylko rosyjskim: cała jego twórczość w zakresie tego rodzaju literackiego, to wielki czyn artystyczny. Co więcej, Bunin reprezentuje tę część literatury rosyjskiej, której dziwnym trafem prawie zupełnie nie zna czytelnik polski, a nawet polski miłośnik literatury rosyjskiej. Reprezentuje dziś tak wielką odgrywającą rolę w piśmiennictwie rosyjskiem XIX-go i początek XX-tego wieku „Zachodniość, reprezentuje jej „europejskość".

Zachodniość ta jaskrawie uderza w twórczości największego poety rosyjskiego, Aleksandra Puszkina, i najwybitniejszego nowelisty XIX. wieku — Turgieniewa, którego twórczość zachwyciła zdumioną zjawieniem się nowego rywala literaturę francuską i angielską.

Zachodniość ta uderza w całej wspaniałej rosyjskiej poezji końca XIX-go i pocz. XX-go wieków: w twórczości Balmonta i Briusowa, W. Iwanowa i Gumilowa. Dziś zachodniość tę reprezentuje Bunin, toteż nic dziwnego, że np. we Francji powitano odznaczenie go nagrodą Nobla znacznie goręcej i szczerzej, niż w sferach emigracji rosyjskiej, która po cichu dziwi się i wzrusza ramionami, że to Buninowi dostał nagrodę, — a tylko na zewnątrz hałaśliwie objawia swą radość, w której to radości jedynym momentem naprawdę szczerym jest triumf spowodu odznaczenia autora emigracyjnego, a nie sowieckiego.

W tomie „Pan z San Francisco" przedewszystkiem zasługuje na uwagę obszerniejsza nowela tytułowa, jeden z najznakomitszych utworów Bunina. Jest to wspaniałe pod względem artystycznym „Memento mori" pod adresem człowieka, wychowanego w atmosferze kultu pieniądza i nieograniczonej wiary we wszechwładzę możliwości kultury materjalnej. W tragedji człowieka, bezsilnego w obliczu śmierci, rozbrzmiewają naprawdę echa ajschylosowe i dantejskie. „Pan z San Francisco", napisany w roku 1915, stoi pod względem artystycznym najwyżej, chyba ze wszystkich jego utworów, a więc zarówno wyżej od poprzedzającej go „Wsi" (z roku 1909), która utorowała Buninowi drogę do Rosyjskiej Akademji w Petersburgu, — jak i od późniejszych rzeczy, jak np. „Miłość Miti".

Z innych utworów, przetłumaczonych przez Rogowicza i zawartych w jednym tomie z „Panem z San Francisco", na czoło wybijają się „Szeroki oddech", „Ida" (utwór na temat banalnie erotyczny, ale napisany tak dyskretnie, tak subtelnie i roztaczający tyle prawdziwego czaru, — że trudno czegoś podobnego doszukać się w literaturze dzisiejszej, traktującej tematy erotyczne z bardzo małem poczuciem umiaru i subtelności), a przedewszystkiem prawdziwa perła, mikroskopijna arcydzieło — opowiadanie o miłości garbusa, kilkadziesiąt zaledwie wierszy liczące. Nieszczęśliwy garbus otrzymał list, w którym mu miłość swą wyznaje osoba odznaczająca się pięknością oblicza i inteligencją, młoda, kulturalna, niezależnie materjalnie. Szczęśliwy, że przecież i jego pokochano — ubiera się jak najbardziej elegancko i śpieszy z zamierającem sercem na randkę. Naprzeciw niemu wychodzi ona, — piękna, młoda, elegancka, subtelna... też garbata!...

Wydawnictwo Przeworskiego zapowiada dalsze dzieła Bunina: „Wieś", „Miłość Miti" i jedyną jego rzecz naprawdę większą: „Życie Arsienjewa", niby autobiografię, niby — rachunek sumienia z całego 64-letniego życia i twórczości, niby testament literacki. Po dziś dzień jednak zapowiedzi tych nie zrealizowało.

(p. t.)

Wpływ atmosfery na odbiór radjowy

Pierwsze doświadczenia z przesyłaniem sygnałów radjowych ograniczały się do przestrzeni niewilkich, nie przekraczających kilkanaście kilometrów. Sprawa radjokomunikacji ponad olbrzymiemi przestrzeniami (oceanami) była wówczas otwartą, a poważną przeszkodę stanowiła tu wypukłość kuli ziemskiej. Do pokonania tej przeszkody okazała się pomocną warstwa atmosfery, otaczająca kulę ziemską.

Antena stacji nadawczej jest źródłem fal elektromagnetycznych, rozchodzących się we wszystkich kierunkach, z których wyróżnimy kierunek fali powierzchniowej tzw. fali przyziemnej — bezpośredniej, oraz falę wypromieniowaną pod pewnym kątem (zmiennym) do horyzontu t. zw. falę przestrzenną — pośrednią. Fala pośrednia ulega odbiciu względnie załamaniu w górnych warstwach atmosfery, umożliwiając odbiór i zwiększenie zasięgu radjowego. Ta warstwa atmosfery od nazwisk jej badaczy zwana warstwą Kennely-Heaviside'a, zajmuje przestrzeń od 100 do kilkuset kilometrów. W skład warstwy Kennely-Heaviside'a wchodzą gazy, które pod wpływem promieni pozafiołkowych uległy jonizacji. Stopień zjonizowania jest zmienny i zależny od wysokości, zatem sferę Heaviside'a możemy uważać za szereg warstw o różnych współczynnikach załamania.

Fale przestrzene załamują się w sferze Heaviside'a podobnie jak promienie świetlne przy przejściu z jednego ośrodka do innego np. z wody lub szkła do powietrza. Ponieważ sfera Kennely-Heaviside'a zawiera szereg warstw załamujących przeto promienie fal elektromagnetycznych skutkiem kilkakrotnego załamania — zakrzywiają się i powracają na ziemię — Oczywiście część promieni o małym kącie nachylenia zakrzywieniu nie ulegnie.

Po tym wstępie możemy przystąpić do wyjaśnienia wielu zagadnień związanych z odbiorem fal elektromagnetycznych. Jak już zaznaczyliśmy fala powierzchniowa (przyziemna — bezpośrednia) wypromieniowana przez antenę nadawczą, przebiega wzdłuż powierzchni ziemi lecz przebieg jej i zasięg jest ograniczony mocą stacji nadawczej, oraz absorbcją wypromieniowanej energji przez glebę i przedmioty znajdujące się w polu przebiegu fal elektromagnetycznych.

Gdyby nie było sfery Heaviside'a to odbiór radjowy byłby możliwy tlko w obrębie wypromieniowanej fali powiechrzniowej. Strefa Heaviside'a zwiększa nam zasięg odbioru radjowego w ten sposób, że fala odbita przez sferę Kennely-Heaviside'a i wysyłana na powierzchnię ziemi, odbija się o nią, powraca znów do zjonizowanych warstw atmosfery, zostaje ponownie odbita i jedynie absorbcja terenu psuje chwilami ten proces stwarzając przestrzenie w których odbiór radjowy jest b. cichy albo też niemożliwy.

Są to t. zw. „pasy ciszy" których istnienie poza absorbcją tłumaczy nam sfera Heaviside'a w ten sposób: Sygnały radjowe słyszalne na odległość tysięcy kilometrów, mogą być zupełnie niemożliwe do odebrania w pasie, który rozpoczyna się o kilkadziesiąt kilometrów od stacji nadawczej. Jeżeli oddalamy się od stacji nadawczej, to stwierdzamy stopniowe zmniejszanie się natężenia pola elektrycznego aż do jego zupełnego zaniku. Oddalając się dalej, przebywamy sferę zupełnego milczenia, poczem odbiór zjawia się znowu i to gwałtownie; otóż ten „pas ciszy", jest to przestrzeń położona między granicą odbioru fali przyziemnej, a początkiem odbioru fali przestrzennej, odbitej sferze Heaviside'a. Innemi słowy pas ciszy powstał skutkiem tego, że część promieni fal nie zakrzywiła się z powodu zbyt dużego nachylenia.

Ten wpływ atmosfery jest korzystny dla odbioru radjowego, gdyż umożliwia dzięki sferze Heaviside'a osiągnięcie wielkich zasięgów, jednakże istnieją jeszcze wpływy szkodliwe, jak np. pas ciszy, zaniki. Zanik w odbiorze radjowym, jak sama nazwa wskazuje, jest to osłabienie odbioru często aż do jego zupełnego zaniku. Przyczem częstość zachodzenia tego zjawiska, jak też i czas jego trwania, są zależne od wielu czynników, często natury lokalnej, których określenie i zbadanie nastręcza poważne trudności.

Zanik (fading) powstaje skutkiem interferencji fali powierzchniowej z falą przestrzenną. Jeżeli chodzi o miejsca, do których fala powierzchniowa nie dociera, to tam przyczyną zaniku mogą być zmiany w tłumieniu fali przestrzenej, spowodowane różnicą jonizacji poszczególnych warstw sfery Heaviside'a.

Walka z zanikami doprowadziła do ipęknych rezultatów w postaci wkładów antifadingowych czyli przeciwzanikowych. Układy takie działają w ten sposób, że w chwili gdy natężenie pola elektromagnetycznego ulegnie zmniejszeniu (np. skutkiem interferencji), to lampa pracująca w tym układzie, automatycznie wzmacnia intensywniej, silniej. Gdy zanik kończy się, czyli gdy natężenie pola elektromagnetycznego wzrośnie, to lampa automatycznie zmniejsza wzmocnienie prądów przychodzących, innemi słowy utrzymuje stałą siłę głosu. Układ przeciw-zanikowy nazywamy inaczej układem z automatyczną regulacją siły głosu.

Wpływ pory dnia i roku na odbiór radjowy da się streścić w kilku słowach, których potwierdzeniem są osobiste spostrzeżenia i doświadczenia radjosłuchaczy. Odbiór w nocy jest lepszy — głośniejszy i dalszy, jeżeli chodzi o zasięg. Zasięg jest również większy w zimie niż w lecie. Jednakże dla fal poniżej 20 m. zachodzi zjawisko odwrotne, to znaczy, że na odległości powyżej kilkudziesięciu kilometrów, fale te słyszalne są jedynie za dnia.

Wł.

Faworyt królowej Elżbiety jako hitlerowiec

„Buntownik angielski" brzmi tytuł dramatu, którego premjera odbyła się w ostatnich dniach maja w **Berliner Staatstheater.** Autorem jest Hans Schwarz, znany w Niemczech jako piewca ruchu narodowo - socjalistycznego, autor wierszy politycznych i wydawca dzieł Moellera van der Brück.

Bohaterem jest hr. Essex, faworyt Elżbiety (która w tym czasie dochodziła do sześćdziesiątki). Był to ambitny magnat, który dążył do korony i miał zamiar zmusić królową, aby mu oddała rękę. Z tymi planami łączyły różne nadzieje uciśnione odłamy narodu — zarówno katolicy, jak i zwyczajni protestanci czyli purytanie. Magnaci spodziewali się odzyskać wpływ na rządy, zredukowany do minimum wskutek maskowanego absolutyzmu Tudorów, spodziewano się też, że parlament dojdzie napowrót do znaczenia, liczono na zniesienie znienawidzonych monopolów i t. d. To też około Essexa wytworzyła się grupa oddanej mu szlachty, gotowa do poparcia jego zamysłów. Aby przystąpić do ich wykonania, trzeba mu było jeszcze popularności w szerokich masach i liczył na to, że da mu ją sława wodza.

Rzeczywiście otrzymał naczelną komendę nad ekspedycją przeciw Hiszpanom, odniósł pewne korzyści, spalił szereg statków nieprzyjacielskich i miasto Kadyks. Lecz wysłany później do Irlandji — prawdopodobnie za wpływem zawistnego wielkiego skarbnika Burghleigh'a, który przewidywał niepowodzenie i kompromitację, — nie mógł sobie dać rady z tamtejszymi powstańcami, przekroczył pełnomocnictwa i zawarł hańbiący dla Anglji pokój. Za powrotem przyjęto go źle i umowy nie zatwierdzono. Wówczas dotknięty w swej dumie magnat próbował zamachu stanu. Okazało się, że ludność Londynu twardo stoi przy królowej. Zwolennicy Essexa nie dotarli do jej rezydencji, musieli się zamknąć w pałacu hrabiego i po paru godzinach poddać na łaskę i niełaskę. Za dumny, aby się upokorzyć, Essex zginął na szafocie.

Ta treść historyczna dziwnie przetworzyła się w dramacie Schwarza. Essex przemienił się w niemieckiego **Paradekerl czy blonde Bestie** i wygłasza tyrady w duchu narodowo — socjalistycznym. Otaczająca go szlachta robi wrażenie szturmowców, poprzebieranych w bufiaste spodnie i hiszpańskie kryzy. Każde ukazanie się Essexa wywołuje burzę radości u ludzi — gdyby tak było naprawdę, zamach stanu z r. 1601 byłby się udał, a Essex byłby, owdowiawszy po Elżbiecie, założył nową dynastję. Bürghleigh reprezentuje typ polityka starej daty, nie rozumiejącego współczesnego życia i jego zagadnień, zapałowi młodego hrabiego przeciwstawia martwą rutynę.

To, co mówi w sztuce sam Essex, składa się razem wzięte na cały program hitlerowski. Deklamuje on dużo o młodzieży i jej zapale, gwałtownie atakuje parlament i papieża — w tym wypadku odbił się zatarg z Kościołem, — poświęca też jedną po drugiej ciepłą wzmiankę jezuitom. Historyczny Essex nie miał powodu tego robić, bo każdy jezuita, schwytany w owym czasie w Anglji po odpowiedniej ilości przesłuchań z użyciem tortur ginął na szubienicy. Raczej spodziewano się na wypadek zwycięstwa hrabiego złagodzenia lub zupełnego usunięcia okrucieństw, popełnianych na katolikach.

W przedstawieniu pamiętano o tem, aby i bohatera i jego sympatycznie przedstawionych zwolenników, wśród których jest i dzielny żeglarz pocta Sir Walter Raleigh, ucharakteryzować na typy nordyczne. Ze względów scenicznych obcięto mocno polityczne deklamacje, tak, że punkt ciężkości spoczął właściwie na romansie Essexa z królową.

Myśl przewodnia jest jednak jasna: Słuszność ma zawsze bohater, burzący przestarzałe formy życia i ogarnięty świętym zapałem tworzenia czegoś nowego. Niestety zakończenia historji Essexa nie można już było zmienić...

Dramat Schwarza odbiega daleko od sztuk, jakie po wojnie grywano na scenach niemieckich. Były one naturalistyczne w treści i w formie. Tymczasem Schwarz nie tylko sięgnął po temat do historji, ale przetworzył go w duchu romantycznym. Zawrócił też ku romantycznej formie, używając dźwięcznego wiersza białego, jak Schiller w „Marji Stuart" lub „Wallensteinie".

Jan Szarzyński

Programy muzyczne P. R.

„Si tacuisses..." Chyba nie. Polskie Radjo jest dzisiaj instytucją na tak mocnych opartą podstawach a wielostronnie rozbudowaną, iż się głosów t. zw. krytyki nie tylko obawiać nie może, ale nawet domagać ich powinno. Mówiąc o „krytyce", a więc urządzeniu o dość podejrzanej często konduicie, mamy na myśli oczywiście sądy osób fachowych w dziedzinie dobrze im znanej, wypowiedziane w formie stosownej, a zawierające ocenę bezstronną danych zjawisk, czy świadczeń — w tym wypadku muzycznych.

Otóż przeglądając programy muzyczne P. R. (albowiem tymi chcemy się dzisiaj zająć) i porównując je z zagranicznemi, musimy stwierdzić — niezależnie zresztą od uznania, jakiem cieszą się zagranicą — znaczną ich poprawę wzgl. rozbudowę w ostatnim okresie, choć z drugiej strony trudno nie zauważyć pewnych luk w układzie tych programów, albo niedopatrzeń i niedociągnięć tej czy innej natury. Mamy tu na myśli muzykę t. zw. poważną, oraz układ programów — zarówno jeśli chodzi o całokształt (oczywiście względny) zjawisk muzycznych i pewne ogólne w tym kierunku wytyczne, jak i o zestawienie szczegółowych programów danych audycyj. Zacznijmy od tych ostatnich.

Zestawienie programu, na który składa się szereg utworów muzycznych o drobnych lub większych rozmiarach, może, a raczej powinno uwzględnić w pierwszym rzędzie kwestję stylu, czy epoki wykonywanych dzieł, ich formę muzyczną, wreszcie charakter instrumentu, czy zespołu, na jaki zostały napisane. Nie wchodząc tutaj w bliższe rozpatrywanie, jakie właściwości składają się na pojęcie stylu wzgl. formy dzieła muzycznego, stwierdzić należy, iż niczem nieusprawiedliwione ugrupowanie **w bezpośredniem następstwie** utworów o zgoła rozbieżnych cechach stylistycznych, lub odmiennych formą muzyczną, wreszcie wykonanych przez najrozmaitsze instrumenty czy zespoły — jest nietylko „niestylowe" ale i nie pedagogiczne.

Możemy uznać, iż wybrane utwory mają być wykładnikiem stylu danej epoki muzycznej, względnie ewolucji pewnego stylu na mniejszym lub większym odcinku historycznym, a nawet kontrastujących między sobą właściwości stylistycznych, ale trudno zgodzić się na nic nie mówiące, niczem nie umotywowane koziołki stylistyczne, zdradzające conajmniej pokaźny brak smaku artystycznego. Tosamo mniej więcej da się powiedzieć zarówno w znaczeniu pozytywnem jak i negatywnem w kwestji zestawienia programu, złożonego z utworów o najdziwaczniejszym nieraz doborze form wszelakich, a jeszcze gorzej, jeśli oba wspomniane, a źle ujęte czynniki zejdą się w jednym programie.

Cóż powiedzieć np. o programie skrzypcowym, w którym Arja Bacha znajdzie się między poematem Chausson'a a kaprysem Paganiniego, albo o programie fortepjanowym, w którym bezpośrednio po „Minstrels" Debussy'ego usłyszeliśmy Rondo Beethovena g-dur („Die Wut über den verlorenen Groschen"), lub między rzewną kołysanką Czajkowskiego a jakimś patetycznym utworem Liszta — wesoło fruwające „Capiccio" Scarlattiego. Nie wspominam już o programach audycyj wokalnych, stawiających nas czasem w kłopotliwem położeniu, gdzie umieścić najkorzystniej piosenkę Karłowicza znajdującą się w niedwuznacznem towarzystwie arji z „Zazy" Leonvalla i kilku przebojów hiszpańskich.

Należy jednak przyznać, iż jakkolwiek tych przykładów wziętych zupełnie dorywczo możnaby namnożyć bardzo wiele, układ programów P. R., który z natury rzeczy musi się liczyć z przeróżnymi względami o treści nieraz bardzo skomplikowanej, jest dobry, a inowacje, ostatnia wprowadzone, celowo i systematycznie dążą do objęcia najszerszego zasięgu muzycznego, oczywiście w miarę środów technicznej czy finansowej natury, stojących P. Radju do dyspozycji.

Mówiąc o układzie programów wzgl. o wprowadzonych już inowacjach w dziedzinie audycyj muzycznych, należałoby może wziąć pod rozwagę dalsze możliwości celowej rozbudowy programów P. R. w kierunku zapoczątkowanego już systematycznego kształcenia szerokich mas radjosłuchaczy w ściśle oznaczonych dziedzinach literatury muzycznej. Jeśli chodzi o historję stylów czy rozwój form muzycznych w połączeniu z doborem instrumentów odpowiednich, dałoby się może pokazać — o ile to nie miało jeszcze miejsca — jak uprawiało muzykę np. na dworze Fryderyka W. lub w intymniejszem gronie u ks. Radziwiłła, jak ciekawie może być użytą np. waltornia lub fagot (nietylko u Mozarta) jako instrument solowy z tow. orkiestry, a w nowszych czasach np. harfa w zespole z intrumentami dętemi lub smyczkowemi, jak wartościową, choć może nie tak bogatą, jest np. literatura na zespoły dęte i mięszane, zarówno w muzyce klasycznej, romantycznej, jak i nowoczesnej.

Możnaby również wysłuchać w skupieniu wszystkich sonat skrzypcowych Beethovena czy Brahmsa, lub innych, sonat na wiolonczelę w ugrupowaniu, uwzględniającem systematycznie tę wcale bogatą literaturę, wogóle muzyki kameralnej jako przeciwwagi dla występów solistycznych jak najwięcej.

A dla muzyki nowoczesnej zdałby się kącik stały, otoczony szczególną opieką i życzliwością, okraszony prelekcją muzykologa instruktywną, ogólnie przystępną, natomiast pozbawioną poetyzującego dyletantyzmu. Czy dałoby się też np. Zarząd Filharmonji Warsz. nakłonić do układania programów, w którychby nie te same dzieła tych samych kompozytorów stale figurowały, a pewne „koniki" wybitnych wirtuozów na pewien czas zamilknąć mogły. Czy możnaby np. przeprowadzić dyskusję przed mikrofonem na tematy z muzyką związane między kilku mówcami, choćby bardzo odmiennych zapatrywań, lub odczytami sztuki muzycznej? A skróty operowe wzgl. dzieła operowe w przekroju, zestawione z fragmentów najbardziej istotnych, powiązane streszczeniem akcji, a dające możliwe dokładny obraz całości?

Dążąc stale do usunięcia pewnych uchybień w układzie swych programów, a pracując nad ich systematyczną rozbudową, postąpi P. R. znaczny krok naprzód na drodze swej społecznej i kulturalnej czy cywilizacyjnej misji.

Trzeba się umieć i dobrze opalać

Nasze babki i prababki chowały się lękliwie w cieniu parasolki, aby ich cera pozostała alabastrowo biała. My wyciągamy ramiona ku słońcu, wystawiając twarz na działanie dobroczynnych promieni. Jesteśmy dumne, gdy ktoś nam powie: „Jak pani się ślicznie opaliła..." ale...

Niejednokrotnie nietylko jesteśmy niezadowolone z koloru naszej skóry, ale poprostu zrozpaczone nią. Nie chcę mówić o tych paniach które opaliwszy się przypominają różowego... prosiaczka, lub mają ogromne piegi. Zwracam tylko uwagę na odcienie opalenizny szczęśliwych kobiet bronzowych i gładkich. Każda z nas odróżni odrazu czekoladową opaleniznę morską od ciemniejszej górskiej. Ale nie każda wie o tem, że innego koloru nabiera nasze ciało, gdy będziemy się opalały leżąc, lub gdy będziemy w ruchu. Najpiękniejszy kolor ciała będzie miała kobieta jadąca łodzią; promienie słoneczne odbite od lśniącej powierzchni wody sprawią, że skóra jej stanie się złocisto-bronzowa. Ładny odcień będzie posiadała opalenizna nabyta w ruchu.

A więc, jeśli chcecie się panie opalić, równo ze wszystkich stron, wiosłujcie, biegajcie... Od leżenia na słońcu ciało nasze będzie miało kolor brudnawo-zielonkawy, a gdy porzucicie leniwe „far niente" będziecie przypominały statuetki z bronzu.

Kłopoty wycieczkowiczów madryckich

Od ostatnich wyborów panuje w Hiszpanji ciągły niepokój. Nawet podczas niedzielnych wycieczek w okolice Madrytu przychodziło często do starć między poszczególnemi grupami politycznemi, z których każda miała swe stroje.

Zwykłym ubiorem wycieczkowicza hiszpańskiego jest biały wełniany sweater, sportowe spodnie i okrągły biały kapelusz. Atoli czerwona szarfa na szyi oznacza członka młodzieży socjalistycznej, niebieski pas członka młodzieży katolickiej, komuniści noszą czerwone, faszyści niebieskie lub bronzowe sweatery, nawet anarchiści, których niebrak w Madrycie, mają swe „umundurowanie".

I nie tylko bójki wynikały z tej gry kolorów. Zdarzało się często, że człowiek apolityczny przypadkowo ubrał się tak, że wyglądał na członka jednej z tych organizacyj. Bywał narażony na różne przykrości i czasem dostawał się najniespodziewaniej do kozy.

Wobec tego policja madrycka wydała zarządzenie, że wycieczki za miasto wolno robić tylko w „grupach familijnych" i w stroju, który nie przypomina żadnego uniformu.

Wywołało to duże niezadowolenie. Hiszpan żyje w swym domu w odosobnieniu, ale gdy bawi się, to w liczniejszem towarzystwie. Za miasto wybierają się w niedzielę grupy po kilkadziesiąt osób. Jest zresztą szereg towarzystw, liczących po kilka tysięcy członków, organizujących wycieczki piesze — warto wymienić ich nazwy: „Micky Mouse", „Koty", „Lohengrin".

Wszyscy znaleźli się w kłopocie i obecnie przyjmuje się zwyczaj, że ludzie wychodzą z Madrytu małemi kupkami, które łączą się w większe gromady np. o dwieście metrów za czwartym kilometrowym słupem w parku Prado.

SWIAT KOBIECY

Drugie oblicze mody

Moda obecna, bardziej niż kiedykolwiek, posiada dwa oblicza. Jedno z nich — to prosta i skromna linja mody spacerowej, plein air'owej, sportowej i podróżnej, to fałdy wełen i jersey'ów, krój luźnych raglanów, pastelowy ton surowych jedwabi i pstra krata długich echarpes. Drugą, zupełnie odmienną, inkarnacją mody jest kapryśna i delikatna linja sukien wieczorowych, miękka harmonja draperji, wielkie kokardy do wiązania, barwny koloryt, podkreślony sztucznem światłem.

Letnie suknie wieczorowe różnią się od zimowych przedewszystkiem rodzajem materjału, większą fantazyjnością i powiewnością, brakiem świecących ozdób, jednem słowem — stylem. Zastosowane są one do odmiennego tła, jakiem jest park, taras kasyna, lub sala reunionowa w uzdrowisku. Zimowe lamy i aksamity ustąpiły miejsca organdynie, tafcie, surah, satin. Widzi się też dużo jedwabi imprimé w kwiaty, grochy wzory „écossais", „pied de poule", wzory geometryczne i t. p.

Charakterystyczną cechą linji toalet wieczorowych jest to, że wszelkie poszerzenia kroju, falbany, cała „ampleur" sukni znajduje się z tyłu, przód natomiast jest gładki, podchodzi wysoko pod szyję, czasami tylko wycięcie „carré" odsłania lekko ramiona. Głęboki dekolt, obnażający plecy, okrywa krótka pelerynka, oszyta lisami, lub lekki płaszczyk taftowy z szerokiemi rękawami albo małemi bufkami.

Płaszczyk bywa czarny lub granatowy i wiąże się często na kokardę z przodu, czasem zaś posiada malutki kapiszon, podbity tym samym materjałem co suknia. Na wielkie gale zarzuca się również pelerynki z piór strusich lub kogucich, farbowanych w różnych odcieniach. Pióra są twarzowe, lekkie i... niepraktyczne.

Niektóre damy paryskie usiłują lansować na t. zw. „petit soir" kostjum z długą spódnicą z satin ciré, z lamy lub z organdiny, „imprime". Góra kostjumu zachodzi pod szyję, z tyłu jest ona głęboko przecięta. Modele te, uznane za „tres vamp", nie znajdą prawdopodobnie wiele zwolenniczek, zdystansują je kobiece i pełne wdzięku, długie suknie wieczorowe, niewygodne do pakowania, lecz konieczne na wyjazd do uzdrowisk, nad morze i w góry.

Wielki, płaski kapelin, o wygiętem lub też prostem jak talerz rondzie, uzupełnia toaletę wieczorową. Przepasany aksamitką lub wstążką, ocienia twarz i dodaje elegancji całości.



Zgrabny kostjum tailleur z białej piki, bluzka z niebieskiego jerseyu w białe paski.

Ploteczki o modzie

— Przy całej rozmaitości materjałów, z których robi się suknie letnie, unikać należy kolorów zbyt ostrych i intensywnych. Ulubione są wszystkie kolory pastelowe. o łagodnych, delikatnych odcieniach. Kolor biały dominuje nadal.

— Materjały szkockie o dużej, szerokiej kratce, cieszą się również dużem, a zasłużonem wzięciem. Jeżeli już nie suknia, to przynajmniej parę krawatek szkockich powinno znaleźć się w letniej garderobie każdej eleganckiej kobiety. Harmonizują one z każdym niemal kolorem, a przyczyniają się wydatnie do ożywienia i urozmaicenia całości.

— Krawatki, kołnierzyki, żaboty z białej piki, organdi lub jedwabiu są nadal bardzo modne i chętnie noszone.

— Wycięcie na plecach jest obecnie znacznie mniejsze, — natomiast dekolt na piersiach stopniowo coraz silniej się akcentuje.

— Kapelusze o szerokiem rondzie królują niepodzielnie. Nosi się je podgięte z lewej strony, a opadające rondem ponad prawe oko.

— Niezbędnem uzupełnieniem stroju wieczorowego są długie, cieniutkie rękawiczki najczęściej z czarnej koronki lub z organdi.

— Suknie zupełnie długie, z przodu gładkie, a z reguły bardzo obcisłe, są niekiedy rozcięte aż do kolan.

Niektóre letnie sukienki nie mają rękawów. Zamiast nich na przedramieniu można nosić szeroki skos materjału, zapięty na guziki. Góra przedramienia pozostaje obnażona, a pas materjału naśladuje bransoletę. Powinien być włożony na wysokości gorsu.

Walka ze zmarszczkami

Instytuty piękności robią majątki na obietnicach usunięcia zmarszczek, czego jednak w praktyce dokonać nie mogą. Przed pojawieniem się zmarszczek należy walczyć, od wczesnej młodości.

Skóry nadto suche łatwiej podlegają zmarszczom, niż inne. Zimno, zmęczenie, ostre powietrze, palące słońce źle wpływają na zmarszczki. Zwróćcie uwagę, że wieśniaczki są przedwcześnie pomarszczone. Trzeba skórę uczynić tłuściejszą, masować ją, aby się stała miękką, bo gdy skóra jest twarda, zmarszczki robią się łatwiej. Środków niweczących zmarszczki niema.

Jedyne przepisy wypraktykowane są następujące: masaż i elektryzacja. Można o tyle o ile zapobiec zmarszczkom, ale trudne je usunąć. Grymasy z przyzwyczajenia żłobią twarz i utrwalają się w postaci zmarszczek. Dlatego to na zmarszczki działają wpływy moralne. Ludzie łagodni są mniej pomarszczeni, niż gwałtowni, a tłuści mniej niż chudzi. Oczywiście też zdrowi mniej aniżeli chorzy.

Gdy kobieta chce mieć piękną twarz...

Niekiedy zdarza się, że pod wpływem słońca zostaje widomy ślad — na twarzach kobiet — cero nierównomiernie opalona i zbyt wysuszona. Od czasu do czasu spotkać można nawet całe „konstelacje" piegów, szczególnie u jasnych blondynek.

Na szczęście te wszystkie straty są możliwe do powetowania. Wystarczy „nakarmić" skórę jakimś tłuszczem. Naturalnie bierzemy pod uwagę przedewszystkiem oliwę w każdej postaci — z migdałów, oliwek, czy też wyprodukowanej chemicznie z waseliny. Jeżeli jednak oliwa nadaje się doskonale do pielęgnacji całego ciała, do naskórka twarzy zastosujemy lanolinę, względnie wszystkie kremy oparte na lanolinie, jako podstawowym składniku.

Jeżeli pani posługuje się czystą lanoliną, przed użyciem należy ją nieco podgrzać, aby stała się prawie płynną. Zasadniczo kremy na lanolinie są praktyczniejsze i... eleganckie. Unika się bowiem konieczności podgrzewania i co jest może drugorzędne, ale zato przyjemne — są perfumowane. Krem taki rozprowadza się na twarzy końcami palców i przez stosowanie lekkiego nacisku wykonuje się masaż.

Przytem należy zwrócić uwagę, że palce powinno się podnosić i opuszczać, celem uniknięcia naciągania skóry. Krem pozostawiamy na twarzy 5—10 minut, poczem przechodzimy do zmywania. Należy namydlić rękę mydłem lanolinowem w wodzie letniej.

Pianą z mydła zmywamy dokładnie twarz i spłókujemy letnią wodą. Jeżeli zachodzi potrzeba, można ten zabieg jeszcze raz powtórzyć. Następnie wycieramy twarz ręcznikiem.

Skóra tłusta może być zmywana nawet dwa razy dziennie, bez uprzedniego natłuszczania; mydło stanowi w tym wypadku doskonały środek leczniczy, — zwłaszcza, że cera tego typu sama wydziela tłuszcz, który należy usunąć. Skóra sucha, lub wysuszona promieniami słońca, czy wiatrem, przed myciem musi być natłuszczona.

„Zabieg" mycia należy wykonywać codziennie wieczorem, przed spaniem, aby uwolnić twarz z „pokładów" kremów, pudru, kurzu i wszelakich nieczystości, które nagromadziły się na powierzchni twarzy w ciągu całego dnia. Na noc najlepiej zostawić skórę „nagą", aby w ciągu tych kilku godzin mogła swobodnie oddychać.

Naturalnie w tej chwili mówimy o cerze normalnej, gdyż naogół leczenie schorzałego naskórka odbywa się przeważnie w nocy. Rano mycie twarzy jest już tylko zabiegiem dodatkowym, z wyjątkiem skóry tłustej, która musi być najgruntowniej zmytą.



Elegancki płaszcz z błękitnej tafty.

Poradnik dla gosposi

MOSTEK CIELĘCY FASZEROWANY.

1 kg. mostku, 4 dkg. tłuszczu, (szmalec lub masło). Do nadziania: 1 bułka, pół szklanki mleka, 3 dkg. masła, 1 jajko, 1 żółtko, koperek, zielona pietruszka.

Zrobić otwór w mostku i zlekka go osolić. Do nadziania utrzeć masło, rozetrzeć z niem wymoczoną w mleku wyciśniętą bułkę, 2 żółtka, dodać białko ubite na pianę, usiekać zielnej pietruszki, koperku i soli do smaku. Włożyć w otwór mostka, zeszyć, obsmażyć na szmalcu na patelni, włożyć bez tłuszczu do rondla lub na brytwannę i piec z kawałkiem masła w niezbyt gorącym piecyku: gdy mięso miękkie, pokrajać na kawałki pomiędzy kostkami i podać polawszy tłuszczem.

KARTOFLE „A LA DUCHESSE"

Przyrządzić zwykle puree z kartofli, czyli kartofle utłuczone na masę z łyżką masła surowego. Wbić do niego 4 lub 5 żółtek wsypawszy trzy łyżki tartego parmezanu, wymieszać razem, urobić na stolnicy posypanej grubo mąką wałek spłaszczyć jak na leniwe pierogi i krajać z niego niezbyt wielkie ukośne kwadraty. Potem otarzać je w mące, obrumienić na fryturze, albo na maśle i ugarnirować nimi pół misek z mięsem jakiemkolwiek.

PLACUSZKI Z SIADŁEGO MLEKA

Dobrze rozbić 1/2 kwarty zsiadłego mleka, 1/8 klg. mąki, surowe jajko, dwie łyżki cukru z dodanym dla zapachu cynamonem, i 1/2 łyżeczką sody. Następnie wszystko dokładnie wymieszać i kłaść łyżeczką na patelnię smażąc na maśle.

JAJA A LA MILANESE

Przemyć pół filiżanki ryżu i ugotować do miękkości w dużej ilości osolonej wody i odcedzić. Ugotować na twardo sześć jaj; wyjąć żółtka i posiekać włożyć dwie łyżki masła w rondelek, wlać pół filiżanki rosołu, zagotować i następnie dodać ryż i żółtka, soli do smaku i nieco czerwonego pieprzu; postawić na ogniu, aby całą masę zagrzać, poczem ułożyć na półmisku wyłożonym grzankami z białego chleba; posmarowanemi masłem, lub też nakładać masę na grzanki i te następnie ułożyć na półmisku, a po wierzchu ubrać pokrajanemi w paski lub plasterki białkami.

LEGUMINA Z OWOCÓW

Kilka kromek słodkiej bułki, suchej, rozmoczyć w mleku z rozbitem jajkiem i wyłożyć nią dno formy, na wierzchu zaś układać owoce surowe, jakie są w sezonie: wiśnie, gruszki, jabłka itp. Posypać cukrem, cynamonem i przykryć masą, zrobioną z rozmoczonej i wyciśniętej bułki, do której dodamy 2 żółtka, cukru i pianę z ubitych 2 białek.

Wymieszać wszystko razem i przykryć owoce. Wstawić do pieca, aż się owoce upieką, a wierzch leguminy będzie ładnie rumiany.

JAM (CZYT. DŻEM)

Dżem jest czemś pośredniem pomiędzy konfiturą a marmeladą. Przyrządza się znacznie szybciej niż oba wymienione rodzaje konserw i znajduje w kuchni znacznie większe zastosowanie.

Dwa kilo truskawek i dwa kilo cukru. Jeden klg. truskawek ładnych odłożyć, drugi — rozgnieść drewnianą łyżką na miazgę. Cukier zalać tylko taką ilością wody, aby się nie przypalił. Po zagotowaniu wrzucić owoce całe i roztarte i smażyć na dużym ogniu, pilnując, aby się nie przypalało.

Jeśli chcemy mieć dżem kwaskowy, dodajemy do połowy miazgi truskawkowej równą ilość rozgotowanego i przetartego przez sito zielonego agrestu.